

Henryk Markiewicz

## MOJE ZDZIWIENIA

### Głosa do dyskusji o komparatystyce

Z zainteresowaniem, ale i pewnym zaniepokojeniem czytałem rozmowę „Wielogłosu” (2010, nr 1–2) o współczesnej komparatystyce literackiej. Zaniepokoiło mnie przede wszystkim milczenie o tradycyjnym jej przedmiocie – badaniach wpływów i kontaktów międzyliterackich. Wspomina o nich dr hab. Olga Płaszczewska, ale odżegnuje się od „osławionej” wpływologii; bardziej przychylnie mówi prof. Marta Skwara, ale usprawiedliwiając się z tej słabości („lubię czasem badać związki faktyczne”, s. 31). A przecież owe wpływy i kontakty są ważnymi realiami historycznoliterackimi. Gdy chodzi o literaturę dawniejszą, wiele tu jest do uzupełnienia i poprawienia dotychczasowych rezultatów. A nikt chyba nie zaprzeczy, że cenne naukowo byłoby naświetlenie nowych faktów w tej dziedzinie, np. przyjaźni Iwaszkiewicza z Schefoldem czy von Helmersenem, wpływy O’Hary na poezję polską, ogromnej popularności poezji Szymborskiej we Włoszech.

Milczenie owo jest może podyktowane lękiem przed zarzutem staroświeckości. Napomyka o tym pośrednio Skwara, mówiąc o polonistyce, która „ma tendencję podążania za modami, boi się posądzenia, że zajmuje się czymś, czym już nikt się nie interesuje” (s. 18). Przeświadczenie, że cenne naukowo jest nie to, co jest merytorycznie odkrywczе, lecz to, co jest metodologicznie najnowsze, to jeden z niedobrych przesądów, nie tylko zresztą komparatystyki, ale całego literaturoznawstwa.

Manifestuje się w tej dyskusji również inny lęk, a może niechęć – do teorii. O jaką teorię tu chodzi – o tradycyjną teorię literatury, o Teorię przez duże T, w znaczeniu amerykańskim, tj. o wielkie koncepcje humanistyczne, które inspirują badania literackie, czy wreszcie o teorię i metodologię własną komparatystyki – nie jest jasne. Prof. Bogusław Bakula nie bez racji narzeka,

że jest zakrzykiwany przez nadteoretyczność różnych wątpliwych pomysłów (s. 36), prof. Maria Korytowska deklaruje, że jest za praktyką i jedynie ona ją interesuje (s. 36), prof. Andrzej Borowski zadaje retoryczne pytanie: „Czy to nie wszystko jedno, gdy mowa o szkodliwych ograniczeniach ideologicznych i metodologicznych” (s. 33).

Wolność od teorii jest złudzeniem – za każdą praktyką stoi jakaś teoria, choćby komparatystyczny pan Jourdain nie zdawał sobie z tego sprawy. Uczestnicy dyskusji zresztą nic innego nie robią, jak tylko teoretyzują, wykładając swoje *credo*, jak pojmują treść badań porównawczych. Tyle tylko, że nie roszczą sobie pretensji, by ten swój model komparatystyki komukolwiek narzucać, a cudze modele kwestionować.

W wielu wypowiedziach występuje przekonanie, że polska komparatystyka ma przede wszystkim służyć poznaniu polskiej tożsamości (tj. specyfiki) literackiej i kulturowej. Według Korytowskiej, jest to „solidna baza literaturoznawcza, kulturoznawcza czy językowa, dotycząca piśmiennictwa narodowego” (s. 15), dla Borowskiego „komparatystyka, jakkolwiek by ją rozumieć, stawia pytania o literackie wyznaczniki tożsamości, o jej formuły” (s. 24) – jest to chyba skrót myślowy, który ma znaczyć, że ową tożsamość można zidentyfikować tylko przez porównanie z innymi tożsamościami. W innym miejscu Borowski traktuje komparatystykę tak szeroko, że uważa, iż wykład literatury staropolskiej, uwzględniający tradycje judaistyczne, chrześcijańskie i antyczne, a także twórczość polsko-łacińską jest już komparatystyką. Dr Tomasz Bilezewski mówi, że komparatystyka to „szkoła krytycznego myślenia o tym, co kulturowo własne, bliskie i znajome, poprzez konfrontację z tym, co inne” (s. 24).

Tak mocno akcentowany polonocentryzm, redukujący właściwie zadania polskiej komparatystyki do funkcji służebnej wobec wiedzy o polskiej literaturze, niekorzystnie w moim przekonaniu zacieśnia zakres jej badań, skazuje ją nieuchronnie na prowincjonalizm, mało interesujący dla zagranicy.

Ale w toku tej rozmowy wielokrotnie przewija się zupełnie inna, wprost przeciwna, bo uniwersalna koncepcja komparatystyki. „Jest ona – mówi Borowski – dzisiaj czymś w rodzaju superfilologii, obejmującej szeroki kontekst kulturowy, ponadnarodowy i międzydyscyplinarny” (s. 12)<sup>1</sup>. Korytowska – powołując się na Schległowskie *das Interessante*<sup>2</sup> – powiada, że „jest to po prostu to, co jest interesującym zagadnieniem bez względu na okoliczności zewnętrzne”. Bardzo to liberalna definicja, bo w gruncie rzeczy legitymująca wszelkie zachcianki badawcze.

<sup>1</sup> Tu uwaga: myli się Borowski, że słowo „kosmopolityzm” to późny neologizm, upowszechniony chyba dopiero przez stalinowską propagandę antyeuropejską. Słowniki francuskie odnotowują go pod rokiem 1823, a Orzeszkowa, wydając swą książkę *Patriotyzm i kosmopolityzm* w roku 1880, nie ma żadnych wątpliwości, że jest to wyraz powszechnie zrozumiały. Trudno się też zgodzić, że termin „kosmopolityzm” powstał akurat w nawiązaniu do Kantowskiego *Weltbürger Recht*. *Weltbürger* to tylko niemiecka kalka wyrazu *cosmopolites* o rodowdziej antycznym.

<sup>2</sup> W tekście występuje mylnie forma *das Interessant*.

Prof. Tadeusz Sławek widzi komparatystykę jako „sposób działania refleksyjnego i nerefleksyjnego istnienia” (s. 19). Cytuję, ale nie rozumiem. Gdzie indziej Sławek wysuwa koncepcję komparatystyki takiej, jaką uprawiają on i jego katowiccy koledzy. Nazywa ją, nie wiadomo dlaczego – „syzyfową”. Jest to „namysł nad istotą człowieka, prowadzony wokół jednego dzieła sztuki. Uwzględnić w niej należy kwestię właściwie pojmowanej zwierzęcości człowieka, czyli zwrócić uwagę na takie jego cechy, jak biologiczność i podległość instynktom” (s. 31); „Warto też objąć zainteresowaniami komparatystyki problem biokultury i studia nad przestrzenią, czyli *genius loci*, ze szczególnym uwzględnieniem studiów nad tym, czym jest dom, czyli oikologii” (s. 32). Wszystko to – powiedziałaaby może Korytowska – jest bardzo interesujące, tylko dlaczego w centrum zainteresowań komparatystycznych znalazło się zezwierzecenie człowieka w pozytywnym znaczeniu, dlaczego akurat oikologia i przede wszystkim – dlaczego namysł nad jednym dziełem miałyby być komparatystyką – trudno mi zrozumieć.

Wszystkie tu przytoczone sformułowania niejasne, arbitralne czy paradoksalne nie są czymś negatywnie odbijającym od wypowiedzeń komparatystów zagranicznych, zestawionych przez Andrzeja Hejmeja w instruktywnym artykule *Niestabilność komparatystyki*, zamieszczonym w tymże numerze „Wielogłosu”. Dla przykładu przypomnę Kennetha Reinharda wizję komparatystyki „jako takiego czytania, w którym teksty nie są właściwie pogrupowane w „rodziny” zdefiniowane na podstawie podobieństw i różnic, ale raczej w „sąsiedztwa” określone przez przypadkową bliskość, genealogiczną bliskość i etyczne spotkania” (s. 71). Hejmej przytacza tę wypowiedź bez zastrzeżeń – dla mnie jest to abrakadabra. W antologii Tomasza Bilczewskiego *Niewspółmierność. Perspektywy nowoczesnej komparatystyki* takich sformułowań jest znacznie więcej. Często pojawia się też szczere wyznanie autorów, że nie wiadomo, czym właściwie komparatystyka ma się zajmować.

Tak to już jest z postmodernistyczną komparatystyką literacką – płynną, niestabilną, transgresywną, czasem nieświadomą swojej tożsamości, zaprzeczającą swą nazwę, bo wykraczającą poza literaturę i odżegnującą się od porównywania. Jest tylko pewna różnica. Uczeni amerykańscy są tą sytuacją na ogół zmartwieni, polscy mają dobre samopoczucie pod niewypowiedzianym hasłem *anything goes in comparative studies*. Współczuję jednak polskim studentom filologii, którzy chcą się dowiedzieć, czego się nauczą, obierając specjalizację komparatystyczną.

## Czytając recenzje teatralne

Przestałem chodzić do teatru – po pierwsze dlatego, że źle słyszę, a aktorzy mówią często tak niewyraźnie, iż nawet widzowie o dobrym słuchu ich nie rozumieją. Podobno niektórzy reżyserzy takie mamrotanie wręcz zalecają. Po drugie dlatego, że mierzi mnie prymitywne, często bezmyślne masakrowanie klasyki w celach jej aktualizacji oraz kopolacyjne szpryngle na scenie. Teatrem jednak wciąż się interesuję i próbuję się dowiedzieć, co się w nim dzieje – sięgając do recenzji prasowych. Niestety, sprawiają mi one często zawód.

Oto cztery recenzje krakowskiego przedstawienia Jana Klaty *Koprofagi, czyli znieawidzeni, ale niezbędni* według powieści Conrada *W oczach Zachodu* i *Tajny agent* – dwie z opiniotwórczych tygodników, dwie z najpoważniejszych dzienników.

Czytając recenzję chciałem – zapewne podobnie jak inni – dowiedzieć się, co się w spektaklu dzieje i jakie jest jego – jak to się dzisiaj mówi – przesłanie. Nic mi o tym nie powie tekst Andrzeja Horubały *Conrad pyta nas o tożsamość* w „Uważam Rze” (październik 2011, niestety, nie wynotowałem numeru). Autor szeroko i ciekawie pisze o Conradzie w ogóle, o jego stosunku do Dostojewskiego, o recepcji jego twórczości w Polsce, o Hübnerowskiej adaptacji *W oczach Zachodu* sprzed 30 lat, o aktualności powieści Conrada w związku z rolą służb specjalnych nie tylko w inspirowaniu zamachów terrorystycznych (tu aluzja do katastrofy smoleńskiej), ale i skrytym sterowaniu mechanizmami polskiej kultury narodowej (jak np. robienie wydarzenia z Kongresu Kultury we Wrocławiu). Horubała oczekiwał z „wyostrzonym apetytem”, że te właśnie aktualia znajdą się w przedstawieniu Klaty. Tymczasem na scenie Starego Teatru ich nie zobaczył, a w tym, co zobaczył, „nie znalazł nic ciekawego”. Jak rozumiem – całe przedstawienie załatwił odmownie. I tyle dowiedziałem się z „Uważam Rze”. Innej recenzji tygodnik ten już nie zamieścił.

Żaden z recenzentów nie zniżył się jednak do tego, by zapoznać czytelników (lub im przypomnieć), na czym polega szkielet fabularny powieści Conrada. A bez znajomości tego szkieletu, to co piszą oni o poszczególnym sytuacjach czy postaciach jest niezrozumiałe. Jerzy Cieślak (*Kto straszy, ten rządzi*, „Rzeczpospolita” z 3.10.2011) jedną czwartą z tej krótkiej recenzji poświęca grze Krzysztofa Globisza w roli jakiegoś Piotra Iwanowicza (m.in. dowiadujemy się tu, że „wbija palce w powietrze”, „zasysa energię i przekazuje ją rewolucyjnej trzódce”, „całą energię wkłada w bezsilną paplaninę”, rozbiór logiczny tych zdań pozostawiam czytelnikom), ale kim on jest, tego możemy się tylko domyślać stąd, że autor pokazał go jako „karykaturę guru współczesnych lewaków, żywiących się papką New Age i filozofią Wschodu”. Nigdy by mi do głowy nie przyszło, że tak może być interpretowany Verloc z *Tajnego*

*agenta*. Ów Verloc zresztą u Conrada ma imię Adolf, a Piotr Iwanowicz to postać z powieści *W oczach Zachodu*.

Joanna Derkaczew (*Anarchia się zapuściła, terroryści są zmęczeni*, „Gazeta Wyborcza” z 5.10.2011) mówi o fabule dramatycznej trochę więcej, ale też chaotycznie i mgliście. Z tego, co pisze, wynikałoby, że w *W oczach Zachodu* mocodawcą anarchistów jest jakiś niewidzialny „solidny układ”, bądź wprost przeciwnie – tylko „kanapowe stowarzyszenie”. W związku z *Tajnym agentem* czytamy, że jest to jakaś „mizerna organizacja”.

Jak rozumieją recenzenci całość spektaklu? Tylko jeden z nich, Cieślak, odwołuje się do tytułu przedstawienia. Według niego koprofagi „przerabiają łajno tego świata i odchodzą. Znienawidzeni, ale niezbędni, co podkreśla rozwinięcie tytułu przedstawienia”. Otóż po pierwsze – czym innym jest pożeranie, czym innym przerabianie. Po drugie – z tego, co recenzenci o przedstawieniu piszą, trudno wywnioskować, co jest tym przerabianym łajnem i na czym polega jego przeróbka, dlaczego jest ono niezbędne i dlaczego mimo to terroryści są znienawidzeni. Według Derkaczew zresztą działanie to jest mało skuteczne, bo terroryści są i nieprofesjonalni, i zmęczeni. Według Marcina Kościelniaka („Tygodnik Powszechny” z 9.10.2011) nie są oni groźni, skoro recenzji dał tytuł *Pocziwy terrorysta*.

Wskazówką interpretacyjną dla większości recenzentów jest element scenograficzny – wielki, zawieszony ponad głowami aktorów mechanizm kół zębatych. Tak widzi go Kościelniak; według Cieślaka jest to wnętrze zegara wychylone ku widzom. Kościelniak tłumaczy sens symboliczny owego mechanizmu jednoznacznie: życiem ludzi rządzi jakaś niezależna od nich siła, „nieodgadniona, nieludzka, ahistoryczna, dosłownie i w przenośni transcendentna”. Uważa on, że jest to nieskomplikowany, skrajnie uproszczony obraz stosunku człowieka ze światem. Zdawałoby się, że obraz taki łatwo zrozumieć, ale po całym tym wywodzie nieoczekiwanie Kościelniak oznajmia: „niejasne pozostaje dla mnie jednak, co Klata chciał w swoim przedstawieniu pokazać”.

Dla Cieślaka zegar to „deistyczna metafora wszechświata jako mechanizmu zaproponowanego przez Boga, w którym panuje „kosmiczna równowaga”, na co dowodem ma być obecność zarówno terrorysty Haldina, jak i jego siostry Natalii, uosobienia cnót chrześcijańskich. Nie wiem, jak to wygląda w przedstawieniu Klaty, ale lektura *W oczach Zachodu* w najmniejszym stopniu ku takiej wizji świata nie skłania. W dodatku dezorientuje mnie puenta recenzji Cieślaka: „na premierze było widać, że spektakl jest dopiero w drodze do idealnego pokazania światowego chaosu”. Nie wiem, czy jest to ironicznie wyrażony zarzut, że przedstawienie jest chaotyczne, czy też ubolewanie, że niedość konsekwentnie pokazuje rzeczywisty światowy chaos. Ale skąd się wziął światowy chaos, skoro przed chwilą czytałem, że w świecie panuje „kosmiczna równowaga sił”.

Owa kosmiczna równowaga, symbolizowana przez zegar, przekształca się w interpretacji Derkaczew w „manichejski obraz świata”. Manichejski, ale zarazem nieantagonistyczny, skoro „zapłodnienie anarchii dokonuje się za przy-

zwolnieniem niebos”. Dowodem tego ma być przybycie zamachowca Haldina do Razumowa – w stroju archanioła. Jakże tu jednak mówić o zapłodnieniu anarchią, skoro rzekomo zapłodniony nią Razumow denuncjuje Haldina?

Zrozumienie myśli Derkaczew utrudniają dalsze jej wywody, z których wynika, że ta wizja świata jest tylko wyrazem tęsknoty Klaty, a nie prawdą o rzeczywistości. Derkaczew bowiem wprowadza do swej interpretacji element nowy, który u innych recenzentów nie występuje: według niej cały spektakl to „sentymalna podróż w czasie”, przepojona nostalgią. Nostalgia za czym? Za minioną epoką, kiedy „prawdopodobne były jeszcze podejrzenia, że za wszystkimi wydarzeniami czają się ukryte siły”. Autorka nie informuje, jakimi środkami reżyser tę nostalgię sugeruje, więc może jest to tylko jej nadinterpretacja. Mówiąc delikatnie – nainterpretacja przedziwna. Nie rozumiem, dlaczego terroryzm organizowany przez ukryte spiski miałby być bardziej sympatyczny i godny akceptacji od terroryzmu samozwańczego. Nie rozumiem też, jak recenzentka może ignorować zarówno to, że dalej istnieje terroryzm zorganizowany (Al-Kaida!), jak i to, że szeroko rozpowszechnione są urojonia o wszechwładzy rozmaitych tajnych spisków (*vide* artykuł Horubały).

No i niewiele się dowiedziałem o tym, co pokazuje spektakl Klaty i co on znaczy. Może to wina niezrozumiałości tego spektaklu, ale wtedy recenzenci powinni albo tę niezrozumiałość skrytykować jako ułomność, albo przyznać się, że jest dla nich zbyt trudna i nie potrafią sobie z nią poradzić. I wtedy – nie podejmować się pisania recenzji.

Na pewno jednak winą ich jest niestaranność, sprzeczność, a przede wszystkim nieliczenie się z możliwościami zrozumienia tekstu przez czytelników. Recenzenci piszą, jak potrafią, dziwi jednak, że na ich wady ślepi są redaktorzy odpowiedzialni za dział kultury w swoich pismach. Powinno im przecież zależeć na tym, by publikowane teksty mogły być czytane ze zrozumieniem przez przeciętnych czytelników. A cóż bardziej zniechęca do nieczytania, jak niezrozumiałość? Czasem budzi się podejrzenie, że redaktorzy ci recenzji teatralnych w ogóle nie czytają, bo gdyby czytali, czy dopuściliby do druku takie zakalce?

## Czytając recenzje... [dopisek]

Już po oddaniu tego tekstu do druku ukazała się w „Teatrze” (2011, nr 12) recenzja Jagody Hernik Spalińskiej, pod epatującym tytułem *Jadą, jadą dzieci drogą, siostrzyczka i brat*. Autorka starała się solidnie streścić fabułę przedstawienia, ale z tego streszczenia absolutnie nie wynika mimochodem rzucone wyjaśnienie tytułu – że społecznie oczyszczającą (a więc pozytywną) rolę odgrywają rewo-

lucje i wojny, jak również urzędnicy, którzy także wykonują brudną robotę. Nie wynika też ze streszczenia główny temat spektaklu w rozumieniu Spalińskiej: opozycja matriarchatu, opartego na związkach krwi, i patriarchatu, rządzącego się dobrem pragmatycznym (Judith Butler tu się kłania!), a w szczególności gloryfikacja miłości siostrzanej, która w skutkach swych likwiduje fizycznie i cywilnie osoby wprężone w „wielki mechanizm” i plany mechanizmu „kompletnie dezorganizuje”. Nic takiego o Natalii i Winie z powieści Conrada powiedzieć nie można. Natalia ani nie ratuje Haldina przed zabójstwem, ani Razumowa przed okaleczeniem, Winie nie zapobiega śmierci Steve’a.

## Propozycja



Ukazały się niedawno m.in. cztery książki imponujące nakładem pracy, erudycją, skrupulatnością: Zofia Trojanowiczowa, Elżbieta Lijewska, *Kalendarz życia i twórczości Cypriana Norwida*; Teresa Michałowska, *Literatura polskiego średniowiecza. Leksykon*; Inesa Szulska, *Litwa Józefa Ignacego Kraszewskiego*; Krystyna Kłosińska, *Feministyczna krytyka literacka*. Nie przypadkiem tak się złożyło, że są to dzieła napisane przez panie; najwyraźniej górują one pracowitością i starannością. Ale nie o tym chciałbym tu pisać.

Żadna z tych książek (i im podobnych) nie została zauważona przez opiniotwórcze dzienniki i tygodniki, przez miesięczniki literackie (takie jak „Twórczość”, „Odra”, „Dekada Literacka” czy „Lampa”), nawet przez pisma poświęcone nowościom książkowym. Szansę na omówienie w większości tych periodyków mają co najwyżej opracowania biograficzne, poświęcone pisarzom dwudziestolecia i nowszym. Tak jest i nie warto narzekać, że kiedyś było lepiej, że w poważniejszych dziennikach, takich jak „Gazeta Polska”, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, „Kurier Warszawski” czy „Kurier Poznański”, recenzowano wybitne prace historycznoliterackie.

W periodykach poświęconych nauce o literaturze dobór omówionych książek jest szczupły i przypadkowy. Wiem, że trudno o kompetentną recenzję naukową, zwłaszcza pozytywną, bo żeby była przekonywająca, powinna ukazać, co nowego wniósł autor do dotychczasowej wiedzy o danym przedmiocie – a więc trzeba uprzednio się z tą wiedzą zapoznać. Znacznie łatwiej napisać recenzję krytyczną czy negatywną. W dodatku daje ona – lub sprawia wrażenie, że daje – recenzentowi poczucie wyższości w stosunku do krytykowanego autora, a ktoś mógłby powiedzieć, że i jakąś Schadenfreude<sup>3</sup>. W rezultacie

<sup>3</sup> Z takich podejrzeń jako autor tej rubryki zdaję sobie sprawę, ale ją dalej prowadzę, mimo odmiennej zapowiedzi w poprzednim numerze „Wielogłosu”. Rezygnuję jednak z omawiania

o ukazaniu się wielu cennych prac zainteresowani ich tematyką czytelnicy w ogóle nie wiedzą; co najwyżej znają ich tytuły (coraz częściej metaforyczne, więc niewiele mówiące o ich tematyce), jeśli mają dość czasu i cierpliwości, by zajrzeć do „Przeglądu Bibliograficznego”, ukazującego się jako dodatek do „Pamiętnika Literackiego”.

W tej sytuacji miałbym do redakcji czasopism naukowoliterackich taką oto nietrudną do zrealizowania propozycję – aby uruchomiły dział krótkich, jednostronicowych albo nawet krótszych notatek omawiających ważniejsze nowości książkowe. Przypuszczam, że można by uzyskać takie notatki od autorów recenzji wydawniczych i recenzji w przewodach doktorskich, habilitacyjnych oraz profesorskich.

## Znowu o *Lalce*

Nie bez wahania biorę się do tego felietonu, bo raz już polemizowałem w sprawie interpretacji *Lalki* z Cezarym Zalewskim<sup>4</sup>, ktoś mógłby więc pomyśleć, że wziąłem się na młodszego kolegę. Tak jednak nie jest; piszę dlatego, bo zbulwersowały mnie metody zastosowane w jego artykule „*Pszenica i kłakol*”. *Interteksty biblijne w „Lalce” Bolesława Prusa* („Pamiętnik Literacki” 2012, nr 1).

Autor przyznaje, że związki *Lalki* z Biblią są ukryte i – na powierzchni tekstu zaledwie dostrzegalne, jest jednak przekonany, że związki te są rezultatem celowych działań pisarza. „Prus ewidentnie [!] założył, że jego [dialogu z Biblią] rozpoznanie będzie dostępne tylko dla tych, którzy operują albo dyskursem teologicznym, albo własną intuicją wyniesioną z lektury Biblii” (s. 30). Założenie pierwsze można odrzucić jako nieprawdopodobne – Prus pisał dla czytelników „Kurieria Codziennego”, a nie „Przeglądu Katolickiego”. Czy w dostatecznym stopniu spełniam założenie drugie – nie jestem pewien. Mimo to spróbuję swe obiekcje przedstawić.

Zalewski utrzymuje, że słowa z *Kazania na Górze*: „Błogosławieni cisi, albowiem oni właśnie posiadają ziemię”, które Wokulski odczytał w czasie wielkopostnej kwesty, stanowią prefigurację i komentują losy Węgiełka, a „podstawowym sensem cichości ewangelicznej jest unikanie przemocy w sytuacjach, które mogą do niej prowadzić” (s. 10). Zgódźmy się z tym, choć można by sądzić, że sensem tym jest pokora (por. „Uczcie się ode Mnie, bo jestem cichy i pokornego serca, a znajdziecie ukojenie dla dusz waszych”, Mt 11, 29).

tu przypadków rażącego nieuctwa i nieudolności. Wezmę pod uwagę tylko prace ambitniejsze i bardziej kompetentne.

<sup>4</sup> Zob. H. Markiewicz, *Obrachunki lalkarskie*, „Wielogłos” 2008, nr 2.



Jak według Zalewskiego przejawia się owo Węgiełkowe unikanie przemocy? Najpierw przez to, że nie mści się on na małomiasteczkowym konkurencie, który podpalił jego warsztat. Tymczasem w tekście *Lalki* nie ma ani słowa o podpaleniu, a słowa Węgiełka „spaliłem się tamtego roku” (2, 298<sup>5</sup>) i „dom lepszy od tamtego, co się spalił” (2, 601) przemawiają za tym, że w ogóle nie ma on takich podejrzeń.

Innym dowodem na zaniechanie odwetu jest to, że Węgiełek nie mści się na Starskim za krzywdę wyrządzoną kiedyś jego żonie. Ale rezygnuje on z początkowej chęci zabicia Starskiego, kierując się arcytrzeźwą refleksją, że przecież wiedział, z kim się żeni, i wyładowuje swą wściekłość na żonie, którą wyzywa od świń (2, 603). Czy można to nazwać cichością i pokorą serca? (nb żona jego nazywa się nie Maria, jak pisze Zalewski, lecz Marianna; zob. 2, 469).

Dalej – według Zalewskiego prototypem nie tylko Marianny, ale i Heleny Stawskiej jest biblijna jawno grzesznica. Dlaczego? Bo Helenę posadza się o romanse z Wokulskim, a przegrana w procesie sądowym sprawiłaby, że znalazłaby się ona także „na marginesie zarezerwowanym dla najgorszych” (s. 13). Dla najgorszych! Nawet pani Misiewiczowa w swych katastroficznych obawach tego nie przewidywała. A czytelnik wie przecież, że Stawska jest bez grzechu (choć grzech taki dla Wokulskiego gotowa by była popełnić), że w procesie zostanie uniewinniona, że nawet przed wyrokiem otacza ją sympatia sąsiadów, że ma zapewnioną pomoc i opiekę Wokulskiego. A mimo to Zalewski twierdzi, że „perspektywa intertekstu ewangelicznego podkreśla raczej podobieństwa sytuacji” obu kobiet (s. 12).

Kluczem do zrozumienia konfliktu barona Krzeszowskiego i jego żony ma być ewangeliczny werset: „Syn człowieczy pośle aniołów swoich: ci zbiorą z Jego królestwa wszystkie zgorszenia i tych, którzy dopuszczają się nieprawości, i wrzucą ich w piec rozpalony; tam będzie płacz i zgrzytanie zębów” (Mt 13, 41–42). Zalewski pisze, że owo „zgorszenie” bywa niekiedy przekładane jako „skandal” (czyżby nie wiedział, że w oryginale ewangelicznym występuje tu właśnie słowo *skandalon*, a „zgorszenie” jest jego przekładem?). Ów *skandalon* – zgorszenie interpretuje on *in verba Girardi* jako „zachowanie mimetycznych rywali, którzy zakazując sobie nawzajem przedmiotu swego pożądania, jeszcze umacniają w sobie swoje podwójne pragnienia i zawsze w końcu potykają się o fascynująca przeszkodę, którą odtąd są dla siebie nawzajem”. Przeszkoda zaś jest fascynującą, bo „im bardziej zgorszenie nas odrzuca, z tym większą mocą nas pociąga” (s. 14).

Takie rozumienie *skandalonu* ani nie oddaje ewangelicznego sensu tego słowa, ani sensu, w jakim używa go Wokulski (por.: „Sąd panią Stawską uniewinni [...], to przecież jasna sprawa, ale co skandal jest, to jest” (2, 365), a więc „skandal” oznacza „rozgłośne wydarzenie zagrażające reputacji wplątanych w nie osób”).

<sup>5</sup> Cytaty według wydania B. Prus, *Lalka*, oprac. J. Bachórz, wyd. 2, Wrocław–Warszawa–Kraków 1998.

Według Zalewskiego w zachowaniach małżeństwa Krzeszowskich ukryty jest konflikt, którego symetria sugeruje „nienawiść graniczącą z opętaniem”, ich „wzajemne zgorszenie prowadzi do niespotykanej eskalacji napięcia, które grozi obustronnym unicestwieniem” (s. 19). Badacz niby to dostrzega, groteskowo-komiczną stronę tego konfliktu, a jednak traktuje go ze śmiertelną powagą, jakby to był konflikt tragiczny.

By uzasadnić swe hipotezy, Zalewski wielokrotnie wprowadza różne dodatki i jawne odstępstwa od powieściowych faktów. Nie jest przecież tak, że baronowa potrafiła przekazać Helusi swe negatywne nastawienie do Wokulskiego czy Rzeckiego. Rozmawia ona z dziewczynką tylko raz jeden i z relacji jej wcale to nie wynika. Bezprzedmiotowe są więc spekulacje Zalewskiego, że „gdyby wizyty trwały dłużej, nie jest wykluczone, iż córeczka Stawskiej ostatecznie uległaby perswazji” (s. 18). Proszę wybaczyć złośliwość, ale argument na zasadzie „nie można wykluczyć” przypomina tryb argumentacji używany przez zwolenników hipotezy o zamachu smoleńskim...<sup>6</sup>

Upraszcza też Zalewski motywy wytoczenia przez baronową procesu, redukując je do chęci zemsty na Stawskiej. A przecież lalka, do której baronowa jest ogromnie przywiązana, bo to pamiątka po jej zmarłej córeczce, rzeczywiście zginęła (służąca ją stłukła i potem ukryła na strychu). Gdy więc baronowa dostrzegła przez okno zupełnie podobną lalkę w mieszkaniu Stawskiej, miała racjonalne podstawy, by ją podejrzewać.

Dalej: gdzie w *Lalce* jest mowa o tym, że Wokulski „słuchając psalmu, przekonuje się, że ostateczne potępienie oddała się od niego” (s. 29), że passus biblijny „wywiera na niego istotny wpływ”. Ma o tym świadczyć uspokojenie i równowaga, jaką Wokulski niedługo odzyskuje (s. 28). Ale jakież to spokoj i równowaga, skoro Wokulski, żegnając się z Wysockim, mówi: „Kiedy kto chce dobrowolnie stanąć ze swoją krzywdą przed boskim sądem, nie zatrzymuj go...” (2, 532), a później, w ostatnim spotkaniu z Rzeckim: „Chwilami ogarnia mnie taka desperacja, że chciałbym, ażeby mnie ziemia pochłonęła i wszystko, czegom się dotknął...” (2, 654).

Przy całej swej histerycznej przesadzie Krzeszowska nie obawia się, że w kamienicy „czekają na nią wyłącznie śmiertelne zagrożenia” (s. 20; Zalewski odsyła nas do s. 424 w tomie 2 powieści, ale nic takiego tam nie znajduję).

Z faktu, że Węgiełek stawia krzyż upamiętniający ocalenie Wokulskiego, nie wynika wcale, że „jest on przekonany, iż ten bezsporny fakt nie miałby miejsca, gdyby nie był wpisany w Boski plan odkupienia” (s. 12; mówiąc prościej – że ocalenie to było wpisane w Boski plan odkupienia). Można zresztą zapytać, czy Węgiełek w ogóle myślał takimi kategoriami, jak „Boski plan odkupienia”.

Rekapitulując: metoda Zalewskiego polega na tym, że wyrażeniom i zwrotom biblijnym przypisuje on nie te sensy, które one same mogą nasuwać, lecz

<sup>6</sup> A swoją drogą dziwi, że Zalewski, demonizując baronową, nie zwrócił uwagi na to, że wypytywała ona Helusie, czy Wokulski „bardzo ją pieści” (2, 358). Jak na dziewiętnastowieczną powieść polską – pytanie to zdumiewające.

takie, które wyczytał w rozmaitych tekstach teologicznych i filozoficznych od świętego Augustyna do René Girarda. Zarazem, dostosowując do tych sensów powieść, swobodnie wypełnia miejsca niedookreślenia, bezceremonialnie niekiedy kreuje stany sprzeczne z jednoznacznymi informacjami zawartymi w tekście *Lalki*.

Uwagi powyższe – jak napisałem na wstępie – są wyrazem szokującego zdziwienia, jakie towarzyszyło mojej lekturze artykułu Zalewskiego. Są także wyrazem obawy, czy zasady interpretacji historycznoliterackiej (nie adaptacyjnej!), które wydawały się bezsporne, nie stały się dziś anachronicznymi uroszczeniami. Ciekawe, co o tym sądzi redakcja „Pamiętnika Literackiego”, która artykuł ten opublikowała.

### ***MY SURPRISES***

#### **SUMMARY**

Moje zdziwienia /My Surprises/ is a column authored by Henryk Markiewicz, professor emeritus of the Jagiellonian University, and one of the most outstanding Polish historians and theoreticians of literature. In his articles which have been appearing in the “Wielogłos” magazine since the year 2008, Professor Markiewicz discusses critically certain publications devoted to literary studies, comments on the current events associated with academic life, engages in polemics and poses questions addressing them to the authors of academic papers and popularizing articles; he unceasingly demands respect for the standards of academic professionalism, competence, diligence and responsibility for the expressed views and opinions.